

# Stereotypy i monolity

Odnoszę wrażenie, że w naszej branży panuje obecnie spore zamieszanie. Może tego nie widać na półkach supermarketów, ale z materiałów, które dostajemy do działu nowości, wynika, że wielcy wizjonerzy śpią, jak niedźwiedzie w zimie, natomiast firmy małe i średnie prowadzą rozpoznanie bojem.

**D**o wczesnych lat 90. XX wieku świat był uporządkowany. Bez względu na wiek i szerokość geograficzną ludzie wiedzieli, co do czego służy. System stereo zawsze się składał ze źródła, wzmacniacza i kolumn. Oczywiście, można było wybierać między gramofonem, magnetofonem kasetowym i szpulowym i uzupełnić całość tunerem, ale na tym zabawa się kończyła. Można było kupić wzmacniacz lub amplituner. Kto nie pamięta Amatorów, Zodiaków i Radmatorów? Sam miałem ten pierwszy i zazdrościłem posiadaczom pozostałych. Łączyło się też wzmacniacz z magnetofonem albo gramofonem. Najprostszy przykład drugiego małżeństwa to słynne Bambino. Radiomagnetofon? Do dziś pamiętam JVC, który na osiemnastkę mojej siostry przytaczał kolega – co to był za styl i dźwięk... Nie mogłem spać i patrzeć na swojego Kasprzaka. A kolumny? Istniały elektrostaty, magnetostaty i linie transmisyjne, a przeciętnemu zjadaczowi chleba pozostawały Altusy. Świat był prosty, piękny i choć czasem szumiało, to z głośnika, a nie w głowie. Każdy składał sobie wieżę, jak mógł i nie pojawiały się w niej dziwne wynalazki. Tylko czasem trafiał się korektor graficzny z suwakami ułożonymi w modną literę „u, jak Urszula”. Były duże wieże, małe wieże, a dla ską... pardon, pragmatycznych – miniwieże. A skoro tych wież było tak dużo, to Pan Bóg postanowił ludziom popłatać języki.

Za Wielką Wodą już w latach 80. ludzie budowali sobie specjalne pokoje do słuchania muzyki. W skupieniu, odosobnieniu, luksusie i niezemskiej akustyce. Jako że muzyka także potrafi się znudzić, warto ją przedzielić jakimś filmem. A im mniej w nim moralnego niepokoju, a więcej strzałów znikąd, tym mózg odpoczywa intensywniej, bo nieużywany. Z tej potrzeby narodziło się kino domowe. Ale wyglą-

dało inaczej niż to, co macie na myśli. Sale kinowe były projektowane i budowane przez specjalne ekipy, już na etapie budowy domu. Nie tylko akustyka się w nich liczyła, ale też kinowy nastrój. Specjalne fotele obite purpurą i zamszem, niby takie jak w kinie, ale krojone pod pański tyłek. A że przy seansie wypić i zakąsić miło – były stoliki i trzymadełka na kubki. Przed ekranem kurtyna, a jak klient sobie zażył, to i replika kasy biletowej przy wejściu. Najpiękniejsze instalacje kosztowały czasem tyle, co pół domu, i to bez sprzętu. Inwestycje w ten zaczynały się po tynkach. Ale nie w europejskim stylu, kiedy to wyprytykany na baterie łazienkowe i hebanowe podłogi delikwent zaczyna cięcia i z projektora robi się 42-calowy telewizor, a z pięciu końcówek mocy – amplituner z promocji. Tu zaczynała się jazda na całego, bo sprzęt kinowy kosztował tyle, co high-endowe stereo, tyle że pomnożone, bo kanałów więcej. Takie kina najczęściej grały na poziomie niedostępnym dla multipleksów z platynowymi salami. Nic dziwnego, że moda dotarła do reszty świata. Ale, nazwijmy to: w uproszczeniu. Czyli z zastrzeżeniem, że ma kosztować tyle, co stereo, najlepiej w formie miniwieży. I tak z ciekawego zjawiska powstało kino w wydaniu light. Wspomniany amplituner plus pięć plastikowych głośników, a wszystko za 1999 zł. Kiedy pierwszy raz usłyszałem ten wynalazek, wiedziałem, że szczególnie w niesławie. Podobnie jak SACD, odkąd wylądowało w miniwieżach. Pomogła też ludzka bezmyślność. Co drugi klient zastanawiał się przy zakupie: gdzie to postawić. I tak powstawały wystawki w rodzaju rządka pięciu kolumnienek na telewizorze. Królowała jeszcze jedna opcja: kupujemy najpierw amplituner i dwie kolumny, a potem resztę. W połowie przypadków zawsze było potem, ale bez reszty.

I cóż, ludzie wracają do stereo, a tanie „kino” staje się powoli synonimem obciachu. Bo nie ma gdzie postawić, bo skomplikowane, bo wreszcie – para głośników wystarczy. Ta ostatnia konkluzja dociera zwłaszcza do osób, które chcą łączyć filmy z muzyką. Każdy słyszy, że w takim przypadku dwa głośniki grają lepiej. Może dlatego najlepiej sprzedającym się amplitunerem Onkyo jest obecnie model... stereofoniczny? Przejrzyjcie katalogi innych firm: ilu producentów ma w cenniku takie „dziwadło”?

Powrót do stereo, owszem, nastąpił, ale kolejnym przełomem w słuchaniu muzyki okazał się... telefon. O ile coś, co nosimy przy sobie, można jeszcze nazwać telefonem. Bo przecież robi zdjęcia, można na nim oglądać filmy i co kto tam lubi. Niedługo zapewne będzie można na nim jeździć, ale to za chwilę, jak okiełznamy fale grawitacyjne. A skoro tak za bardzo nie wiadomo, co można, to i sprzęt do słuchania muzyki przygotowywany jest gruntownie, tyle że nie wiadomo, na co. Powstają coraz bardziej wydziwione odtwarzacze sieciowe, głośniki współpracujące z telefonem, lodówką i najbliższym komisariatem policji, bezprzewodowe wzmacniacze i – zapewne niedługo – bezpłytkowe gramofony analogowe. Przyznam, że się w tych nowoczesnościach trochę gubię, ale jedno rozumiem. Do wszystkiego potrzebne są przetworniki, więc to obecnie najpopularniejsze urządzenia grające. Gubią się też producenci, chociaż czasem powstają ciekawe rzeczy, jak chociażby kolumny (jeżeli można je tak nazwać) Kruger&Matz opisywane w tym numerze. Kwintesencja rozszerzenia telewizora dla ludzi, którzy nie mają miejsca na graty, ani specjalnych wymagań, nazwijmy to: audiofilskich. Jedno mnie tylko zastanawia: skoro produkuje się tyle przetworników, z komputerów usuwa napędy, a na świecie płyt CD jest więcej niż wszystkich ssaków, gadów i płazów razem wziętych, to dlaczego w miarę niedrogi transport CD znalazłem tylko w ofercie Cambridge Audio? Producenci patrzą, jak widać, naprzód, ale tylko niewielu spojrzy wstecz lub rozejrzy się dookoła. A tutaj też są inspiracje.

Maciej Strycki